

Krzysztof Wołodźko: Coraz ciemniej w jaskini

To, co nazywamy dziś upolitycznieniem mediów to jeden ze znacznych i znaczących skutków polskiej transformacji - przeczytaj w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Czwarta władza tekst Krzysztofa Wołodźki.

Nie da się rozmawiać o stanie środków masowego przekazu w Polsce bez zrozumienia, że to również debata o konsekwencjach przyjętego modelu transformacji. Bieda-kapitalizm pomógł stworzyć bieda-media, często wprost zależne od dotacji i tak coraz mniej wydolnego finansowo państwa. Dodajmy do tego kwestię kreacji i recepcji przekazu, czyli jakość edukacji i instytucjonalne nakazy myślenia według kluczy, ściąg i bryków (takie będą Rzeczpospolite!), wpływ najnowszych technologii cyfrowych i mediów społecznościowych na skrótowość form i treści przekazu, wpływ prędkości przepływu informacji na wzrost szumu informacyjnego, prymat obrazu, który bazuje na wrażeniu, bez możliwości/potrzeby jego wnikliwszej analizy. Nie da się też pokazać medialnego uniwersum bez naświetlenia konfliktów społecznych i licznych fenomenów (na poły fascynujących, na poły niepokojących) z życia rozbitego społeczeństwa.

Na początku lat 90. znaczna część nowo-starych elit przekonywała, że upowszechnienie mechanizmów demokratycznych i rynkowych skutecznie uwolni nas od kłamstw i półprawd charakterystycznych dla czasów Polski Ludowej. Z kolei apostołowie politycznej niepoprawności uderzali mocno w stół kubkiem ze swoją podobizną: tylko w takiej formie, tylko pod tym znakiem Polska miała zostać Polską, a Polak Polakiem. Ale dziś widać, jak

proteuszowe oblicze ma cenzura. Mniej lub bardziej subtelnie ukryta w polityce redakcyjnej, kryje większe i mniejsze tajemnice rozmów między właścicielami mediów a wysoko postawionymi redaktorami. Poza tym Wielkie Zwierzę ma więcej niż ambiwalentny stosunek do prawdy, lubi sofistów i demagogów. I darzy ich zaufaniem, nazywając „zdroworozsądkowymi”, choć po prostu schlebiają dość monotonicznie urobionym gustom. Prawda wcale nie jest ciekawa – wzbudza irytację, jeżeli nie można jej oswoić, wykorzystać, przerobić na amunicję w polsko-polskich wojnach. I nie ma komu wracać do platońskiej jaskini.

Gdy myślę o mediach coraz częściej przypominają mi się – owszem, niemal zupełnie już niekonfesyjnie – słowa Jana Pawła II, że demokracja bez wartości łatwo przemienia się w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm. Zdanie to zostało użyte w encyklice „Centesimus annus”, w jej piątym rozdziale (punkt 46) zatytułowanym „Państwo i kultura”. Te słowa wpisały się do narodowego zeszytu ze złotymi myślami, gdy „nasz papież” przypomniał je w polskim parlamencie 11 czerwca 1999 roku. Szczęśliwie dla swoich interesów, klaskaniem mając obrzękłe prawice (i lewice), ludzie współdecydujący o kształcie polskich przemian szybko zapomnieli tę wypowiedź. Albo przykroili ją do swoich własnych interpretacji rodzimego *logosu* i *ethosu*. Dla jednych było to zbędne gadanie staroświeckiego papieża, który przeszkadzał naszym kieszonkowym Settembrinim w budowaniu liberalnego, pluralistycznego, tolerancyjnego i wolnorynkowego społeczeństwa, z którego jakimś dziwnym trafem wykluczono „Przaśnego-Innego”, czyli wcale liczną rzeszę transformowanych Polaków: od (chłopo)robotników po uboższą inteligencję miast i wsi. A jeśli już myślano o nich to przez pryzmat „reedukacji przez terapię szokową”. Podobno wszystko poszło dobrze – tyle że wciąż nie możemy zatrzymać krwotoku emigracji zarobkowej, czyli masowej ucieczki z najlepszej z możliwych Rzeczpospolitych. Dla drugich z kolei myśl Jana Pawła II odnosiła się ściśle do etyki okołorozporkowej. Waśń między prawicą

poopozycyjną a lewicą postkomunistyczną tak fatalnie sformatowała polskie myślenie, że publiczną debatę o etyce jako zworniku więzi społecznych sprowadzono do prawa do/zakazu aborcji, religii w szkołach itp. zagadnień.

Pośród łopoczających sztandarów, haseł o Bogu albo tolerancji, wolności jednostki albo fundamentach cywilizacji społeczeństwo stawało się coraz bardziej zatomizowane i coraz solidniej przysposabiane do życia wedle reguł społecznego darwinizmu. Widziałem to na własne oczy jako nastolatek i student: w miejscowościach, które znam z dzieciństwa, w przeciągu dwóch dekad III RP pozamykano szkoły i przedszkola, domy kultury, lokalne biblioteki połączone ze świetlicami. Państwo miało obumrzeć, by zrobić miejsca rynkowi. Dziwnym jednak trafem instytucje rynkowe jakie pojawiły się w to miejsce, to dyskoteki, dilerzy narkotyków, całodobowe sklepy z alkoholem, wypożyczalnie kaset VHS/DVD, banki i apteki w miasteczkach. Czasem jedynym miejscem życia wspólnotowego pozostawał kościół/parafia. Może zabrzmi to dla kogoś beczelnie, ale jakoś dziwnie nie mam poczucia, że to wystarczające pocieszenie dla ludu w cywilizowanych stronach świata.

Państwo i kultura. To istotna, a tak bardzo dziś przeoczana relacja: kultura jest sferą bezinteresowności myślenia, które z kolei zawiera w sobie olbrzymi potencjał etyczny. Kulturowa bezinteresowność myślenia, dziedzictwo najlepszych tradycji filozoficznych, może choćby w ograniczonym stopniu chronić myśl ludzką i pewien obszar wyobrażeń społecznych przed nader licznymi utylitaryzmami i technologiami zarządzania rzeczywistością społeczną, polityczną, gospodarczą. Bezinteresowność ocala człowieczeństwo: ponieważ umożliwia spojrzenie nam słabszych (i silniejszych), chorych (i zdrowych), przegranych (i zwycięzców), głupich (i mądrych), wykształconych (i niewykształconych), prowincjuszy (i reprezentantów wielkomiejskich śmietanek towarzyskich), ludzi zainteresowanych sferą

publiczną (oraz na idiotów) nie tylko przez pryzmat korzyści lub szkód jakie przynoszą jako „zasób ludzki”. Możemy zobaczyć ich jako ludzi – w ich słabości i sile, w pięknie i szpetocie, w ich arcyłudzkiej „bezużyteczności”, którą czasem uznajemy tak bardzo, że określamy różnymi imionami miłości. Nie, nie uciekam w idealizm. Ale warto zapytać siebie, czy cokolwiek da się uchronić ze świata, w którym jednostki i społeczeństwa szukają kompromisów między coraz liczniejszymi racjami, stają przed coraz większymi wyzwaniami, muszą mierzyć się z potęgami pieniędzy, władzy i paradygmatów myślenia, jeśli elementarnie nie uznajemy prawa człowieka do „bezinteresownego człowieczeństwa”, czyli również niesprowadzania myślenia i prawdy do jakichkolwiek interesów, ideologii, propagandy, ról społecznych.

Owszem, mówię to jako piewca walki klas – który niekiedy szuka pocieszenia na skrawkach literatury, poezji, malarstwa, kina, muzyki, za progami starych kościołów, w cieniu parków krajobrazowych. Stwierdzam to jako piewca walki klas, który uważa, że plebejskiej Polsce jej elity, w tym elity medialne, odmówiły udziału w nieco wyższej kulturze, dobrej infrastrukturze publicznej i rzetelnej powszechnej edukacji. Od początku III Rzeczypospolitej wzmacniano myślenie wedle którego najważniejszymi kryteriami była ekonomiczna, polityczna (czyli de facto) partyjna i środowiskowa korzyść wąskich „grup specjalnego uprzywilejowania”. Najbardziej opiniotwórcze grono ze świata dziennikarskiego – poświadczą to nie tylko znany obraz Moniki Olejnik wchodzącej do samochodu Jerzego Urbana – to ludzie z dostępem do reglamentowanych informacji czy rzadszych zasobów materialnych i kulturowych. Oni mogli wchodzić do przeobrażających się instytucji tylnymi drzwiami, gdy tłumy petentów grzecznie czekały na swój numer. Oni byli na „ty” z ludźmi, którzy dla mas były „wysokimi nazwiskami”. To również ludzie o odpowiednio bliskich znajomościach w świecie biznesu, polityki, wyższej administracji, nauki, mniej lub bardziej tajnych służb. To wreszcie osoby świetnie znający te elementy biografii możliwych tego folwarku, o których niemal nigdy przecież nie mówi się

widzom i czytelnikom, a które miały wpływ na losy procesów i kształty struktur transformującego się państwa. I to nie jest problem tylko „resortowych dzieci”, ponieważ w państwie na pograniczu post- i neokolonii te przypadłości dotyczą wszystkich, którzy mogą dokooptować do nowostarych elit. Brakowało równocześnie troski o tych, którzy źle się mieli i byli znacznie, znacznie niżej na dole społecznej drabiny.

Nie wydaje mi się niezwykle, że w takich realiach bezinteresowność myślenia wyciekała z polskich mediów jak woda z dziurawego wiadra. To, co nazywamy dziś upolitycznieniem mediów to jeden ze znacznych i znaczących skutków polskiej transformacji. Dodajmy, że proces psucia środków przekazu, pogłębiania się ich naskórkowości, albo skrajnego podporządkowania polityce, wielkiemu kapitałowi, schlebiana gustom miłośników mniemań, od kilku dekad opisywany jest przecież w demokracjach zachodnich. Błędy jako popełniono w III Rzeczypospolitej były duże już na początku – zatem ich skutki mogły tylko przyrastać lawinowo. A najważniejszy z tych błędów – w mojej opinii – wiązał się z przyjęciem bardzo egoistycznej wielkowiejskiej optyki. Rzadko kto chciał myśleć bezinteresownie, czyli obok interesów szybko i skokowo bogacących się wąskich warstw uprzywilejowanych, dostrzec również znacznie trudniejsze realia Polski B. Owszem, renta transformacyjna, a później wejście do Unii Europejskiej, także „Przaśnemu-Innemu” dawały pewne korzyści. Skutecznie jednak zablokowano opisy przemian inne niż te korzystne dla elit: niezależnie od tego jak grupy bardziej uprzywilejowanych beneficjentów transformacji sytuowały się na ideologicznej matrycy. To dlatego na przykład nie było w Polsce rzetelnej dyskusji o reformie emerytalnej, gdy wprowadzał ją rząd Jerzego Buzka. I dlatego najważniejszym medialnym skojarzeniem z emigracją zarobkową u jej początków był radosny hydraulik. Wąska elita dziennikarstwa nie wspominała za dużo ani o ewentualnych problemach z prywatyzacją systemu emerytalnego, ani nie mówiono za dużo o tym, że nierzadko ludzie uciekali z kraju na wreszcie legalną zarobkową emigrację z nożami na gardle i rozpaczą w sercach.

Liberałowie bezbożni i pobożni, choć potrafili długimi godzinami przechodzącymi w lata i dekady klócić się o wartości, aborcję, Kościół, lewicę i Adama Michnika, w tym jednym byli niemal zgodni: „Przaśny-Inny” musi być reedukowany w duchu kapitalistycznego darwinizmu. A jeśli się nie dostosuje? Niech wegetuje z dala od oczu i zainteresowania ludzi licznych sukcesów, w tym reprezentantów młodych stołecznych mediów, czyli pokolenia dzisiejszych plus-minus pięćdziesięciolatek. Poza prosocjalnym i narodowo-wsobnym „Radiem Maryja” przeważał właśnie taki ton. Choć to, co nazywamy zwijaniem się państwa, nasiliło się w czasach rządów Platformy Obywatelskiej, to procesy dewastacji infrastruktury instytucjonalnej wspomagał już wcześniejszy rząd Prawa i Sprawiedliwości, nie mówiąc o wybitnych zasługach „deformatorów” z Akcji Wyborczej „Solidarność”. A Leszek – Rynek Ma Zawsze Rację – Miller przypominał sobie o wrażliwości społecznej dopiero wtedy gdy poparcie dla Sojuszu Lewicy Demokratycznej mocno pikowało w dół.

Zwijanie państwa. Na dobrą sprawą była to strategia przyjęta na początku III RP, którą można wyjaśniać koniecznością zerwania z patologiami okołosowieckiego satelickiego kraju. To zerwanie udało się przeprowadzić w sposób dość perwersyjny, tzn. „zdekomunizowano” Polskę ludzi uboższych i nie-władnych, za to długo utrzymano sieć możliwości dla odpowiednio możnych i zamożnych. Hipertrofię państwa jednej partii zastąpiono hipertrofią egoizmów nowych warstw posiadających kontrolę nad rzeczywistością. Producenci medialnych obrazów, funkcjonariusze wyobrażeń społecznych, nowi objaśniacze dziejów, egzegeci człowieka na miarę liberalizmu obyczajowego i gospodarczego, a także młodzi gniewni liberalni konserwatyści opowiedzieli się po stronie nowo-starych elit, czy ściślej, odpowiednich dla siebie ich frakcji. Sądzę, że nie tylko dla pieniędzy, ale również ze względu na swoją młodą wiarę w okołothatcherowski/okołoreaganowski model urynkowania i zbrzydzenie

realnym socjalizmem. Rozumiem to, choć uważam, że nie byli tak oryginalni i samodzielni w swoim myśleniu, jak do dziś lubią sądzić. Xero-myślenie pod sowiecką kolbą zamienili na xero-myślenie pod dyktando wielkich pieniędzy, czasem kropionych kropidłem – bo to Polska właśnie.

Czy przesadzam? Jeden z najbardziej porażających fragmentów literatury naukowej na temat instrumentalnego i skrajnie deformacyjnego opisu prowincjonalnych polskich realiów jaki znam, zawiera książka „Młodzi a bieda. Strategie radzenia sobie w doświadczeniu pokolenia wsi pokółchozowych i popegeerowskich” (Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 2014) autorstwa Piotra Bindera. Socjolog zwraca uwagę, że chłoporobotnicy, którzy tracili pracę na początku lat 90. w rejonach strukturalnego bezrobocia, byli dodatkowo stygmatyzowani w dyskursie publicystycznym i naukowym. Nie tylko deprecjonowano ich zawody, style życia oraz miejsce na mapie „przestrzenno-społecznej”, nie tylko byli milczącymi zakładnikami transformacji – pejoratywne opisy sięgały cech „osobniczych”. Pozwolę sobie na dłuższy cytat, ponieważ ukazuje on swoistą znowę dwóch opiniotwórczych reprezentacji elity względem „Przaśnego (i przegrywającego) Innego”:
„prezentowano ich jako zarażonych wirusem (bądź dotkniętych plagą) wyuczonej bezradności, ludzi obarczonych barierami mentalnymi, typowy produkt systemu komunistycznego czy »przedstawicieli mentalności złodziejsko-żebraczej, którzy żebrzą od zamożniejszych i kradną od słabszych«. Konkluzją tego typu analiz bywało stwierdzenie, że »nie pasują« oni do struktury społecznej, ponieważ żyją w anachronicznej niszy sięgającej korzeniami dalekiej przeszłości, a samo ich istnienie świadczy o zacofaniu kraju. Z czasem okazywało się nawet, że bezrobocie jest nie tylko »ich problemem«, ale że »sami są winni swojego położenia«, a nawet dopatrywano się w tym pewnej sprawiedliwości dziejowej. (...) W tej skrajnie trudnej sytuacji byli pracownicy PGR i ich rodziny musieli radzić sobie sami”.

Zdaje sobie sprawę, że ten punkt widzenia może zaskakiwać – przyjęliśmy sądzić, że upolitycznienie mediów wiąże się choćby z narastającą polaryzacją sporu Prawa i Sprawiedliwości z Platformą Obywatelską. Owszem, to istotne, ale wystarczy prześledzić narracje mediów pro- i antypisowskich, żeby zobaczyć większość konfliktów i napięć społecznych towarzyszących Polakom od początku transformacji. Medialne elity (razem z medialną drobnicą) zostały pożarte przez kapitał i politykę darwinizmu społecznego, ponieważ same usilnie pracowały na ich bezalternatywność. Same media nie potrafiły zabezpieczyć głosu słabych (to dla mnie próbnym bezinteresowności myślenia) wobec silnych – dlatego w znacznej mierze doczekały własnego intelektualnego upodlenia i wasalizacji. Ale powtórzę: państwo i rynek funkcjonujące jako post- i neokolonialna hybryda, oparte na xero-myśleniu, nie mogły stworzyć mediów innych niż na swój obraz i podobieństwo. I właśnie dlatego coraz ciemniej jest w jaskini.